



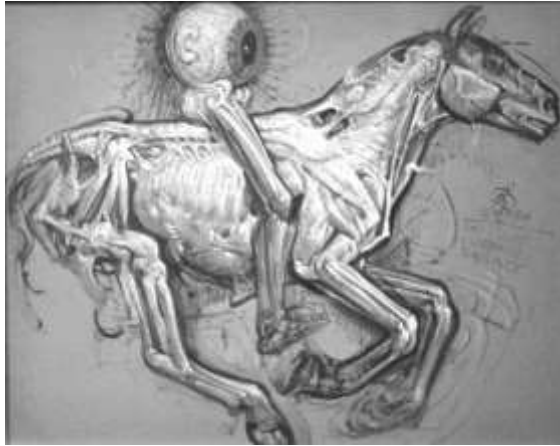
POZNAŃSKA
SPÓŁDZIELNIA
MIESZKANIOWA

PROTOKÓŁ

kulturowy



Nr 54/55 Rok XIV ISSN 1506-1833 Poznań 2015



Andrzej Haegenbarth

Starowieyski ciągle ciekawi, oburza, porusza

Wystawa wybitnego polskiego artysty: *Franciszek Starowieyski /przyjaźnie paryskie 1683 – 1693. Kolekcja A. i N. Avila/* krąży po Polsce. Już widzieli ją mieszkańcy Sopotu, Gorzowa Wlkp., Leszna i Rzeszowa. Znajduje się w niej 150 dzieł: olejów na płótnie i desce, pasteli oraz dziesiątki rysunków, uświadamiających widzom proces twórczy w trakcie wrzenia. Powstały one we Francji, w ciągu dziesięciolecia, podczas pobytów współtwórcy polskiej szkoły plakatu w tym kraju. Wśród małych formatów są prace, które można uznać za skończone; będące zapisem wizji i ćwiczenia ręki oraz kaligrafie, z których Starowieyski był znany.

Autor niniejszego szkicu widział kolekcję francuską w gorzowskim BWA. Ekspozycja była interesująca głównie z tego względu, że zawierała rzadko eksponowane monumentalne płótna artysty i prace średniego formatu, odpowiadające kolekcjonerom. Starowieyski bowiem lubiący eksperyment, najchętniej tworzył albo miniatury, albo prace wielkoformatowe. Wystawie towarzyszył świetny, dwujęzyczny album zawierający masę ilustracji i szczegółowych tekstów, m.in. rozmowę z malarzem, artykuł krytyka Jean-Louis Ferriera *Śmierć Kronosa*, znany już w Polsce wcześniej, wypowiedzi francuskich artystów i inne zapiski Alina Avili, który całość opracował. W skład kolekcji wchodzi jeszcze obrazy na prześcieradłach (cykl *The Big inseminator*) i tzw. mały Teatr Rysowania, wykonany białą kredą na czarnym materiale. Niestety, z braku miejsca, nie znalazły się na wystawie.

Pozostałe prace zostały świetnie rozlokowane i oświetlone a rysunki znajdujące się w dużej sali, na antresoli oraz w holu nie przytłaczały obrazów, lecz były ich interesującym dopełnieniem. Warto wiedzieć, że Starowieyski, gdy podczas rozmowy coś interlokutorowi wyjaśniał, niemal zawsze posługiwał się rysunkiem.

Na gorzowskiej wystawie zwracał uwagę ogromny, zaprezentowany w dwóch częściach, wieloelementowy obraz 3 x 24 m, z 1986 roku, jeden z największych jakie powstały podczas dwudziestu Teatrów Rysowania. O ile mi wiadomo, tylko *Pielgrzymka do świętego półkonia* powstała w tym samym roku na Biennale w Wenecji była większa, bo o metr wyższa. Monument zatytułowany *Historia zniszczenia społeczeństwa ludzkiego* mający również alternatywną nazwę *Komunizm albo zniszczenie świata* zrealizowany w Domu Sztuki w Créteil jest opowieścią o zagładzie. Skłania do wielu rozważań, począwszy od percepcji ogromnego obrazu, który trzeba oglądać w częściach, najlepiej kierując się tytułami kolejnych dni, w których powstawał; poprzez stosowane rekwizyty; znaczenie postaci kobiecych; aż po komunikowane sensory. Interesujące jest to, że owa monumentalna praca powstała w ogromnym sześcianie a następnie dla celów ekspozycyjnych „rozłożona” w płaski, gigantyczny obraz. Starowieyski we wszystkich wielkoformatowych przedstawieniach zadawał niepokojące pytania o istnienie i doświadczanie sytuacji krańcowych.

Wystawa *Przyjaźnie paryskie 1683 – 1693* pozwalała wejrzeć w obsesje artysty (czas i śmierć) oraz zapoznać się z jego ulubionymi motywami. Jednakże, aby uzmysłowić sobie w miarę pełny obraz artysty, warto pamiętać, że był on autorem prac, które uczyniły go sławnym zanim pojawił się w Paryżu, a mianowicie plakatów. Są one bardzo ważne w dorobku artysty, ponieważ za ich pomocą już w latach 60. zaczął budować zręby swojego artystycznego uniwersum.

Starowieyskiemu najbliższy był XVII wiek. Świadczy o tym z zamiłowaniem uprawiana kaligrafia i przewrotne datowanie prac, jak gdyby powstały trzysta lat temu. Fascynacja barokiem przejawiała się w jego utworach, zarówno w kontynuowaniu XVII-wiecznych motywów (fantastyka, mistycyzm, makabryzm, upodobanie do anatomii), jak i w rodzaju światłocienia, modelunku czy dynamizmie kompozycji. Pomimo różnic techniczno-warsztatowych w tworzeniu obrazów małoformatowych i monumentalnych obydwa rodzaje kompozycji mają wiele wspólnego. Wydaje się bowiem, że doświadczenia zdobyte w jednych pracach zostały wyzyskane w drugih i odwrotnie. Nie od razu jednak prace artysty były tak jednolite stylistycznie, że rozpoznaje się je na pierwszy rzut oka.

Z „dojrzałym” Starowieyskim mamy wszak do czynienia dopiero od lat siedemdziesiątych. Niemniej motywy barokowe oraz scalanie obcych sobie elementów, a także fascynacja rozpadem, nieuchronnością przemijania zaczęły dochodzić do głosu już w plakatach z lat 60. Te składniki później stałe obecne w sztuce Starowieyskiego ujawniały się raz silniej, raz słabiej. Inną charakterystyczną cechą sztuki artysty, na co zwróciła uwagę Teresa Grzybkowska, jest złowrogi niepokój zakorzeniony „we wczesnoromantycznej fantastyce i to bardziej literackiej niż plastycznej proveniencji”.

Oglądając jego monumentalne kompozycje, warto zwrócić uwagę, że stałe obracał się pośród niemal tych samych rekwizytów. I że wciąż zaskakiwał widzów nowymi układami sytuacyjnymi, i metamorfozą kształtów. Jego bohaterowie skazani na zagładę próbują wydobyć się z uwikłań, w które zostali „wpisani”, walczyć z nałożonymi na nich ciężarami, a nawet z szatanem. Chcą za wszelką cenę wyzwolić się z cierpienia, ale pozostaje im jedynie ucieczka w... wieczność.

Oryginalność Starowieyskiego widać nie tylko w mistrzowskim kreowaniu poszczególnych przedstawień i łączeniu ich w dynamiczne układy, ale również w podejściu do mitów, np. kosmicznego jaja czy ukrzyżowania. Artysta bowiem nie ilustruje legendarnych opowieści, lecz przekształca je, niekiedy w sposób przewrotny i włącza we własne narracje.

Pomimo atrakcyjności świata przedstawionego sztuka artysty nie jest łatwa. Jej przewrotność intelektualna, ludyczny charakter, zakamuflowane dowcipy oraz wyrafinowanie kolorystyczne najbardziej trafiają do koneserów. Niemniej każdy odbiorca znajdzie w tej twórczości coś, co go zaciekawi, może oburzy, poruszy i skłoni do myślenia.

Jerzy Grupiński

Wypisy po pięćdziesiątce

Nawroty pamięci, powroty. Tak jest i w tym 54/55 numerze „Protokołu”. Kiedy Andrzej Haegenbarth przysłał mi swoją recenzję o wystawie Franciszka Starowieyskiego, przypomniałem sobie nr 4(10) naszego pisma, wydany na przełom stulecia i tysiąclecia w Zamku, zimą 2000 roku, reprodukcją prace Mistrza. Było dla mnie oczywistym, że tylko On – pseudo „Byk”, zdolny jest unieść ciężar tego czasu. W numerze „na przełom” – „Ludzie bójcie się Boga” grzmi w wywiadzie Anny Kokot ojciec Jan Góra, Agnieszka Balewska szuka spadkobierców tysiąclecia, „Nie będzie łatwo...” ostrzega Stanisław W. Piskor. Z rąk przewodniczącej jury Bogusławy Łatawiec, na zdjęciu student filozofii Marcin Czerkasow odbiera nagrodę główną Ogólnopolskiego Konkursu o Laur Klemensa Janickiego. „Protokół Kulturalny” na 28 stronach A4 redagowali wtedy wraz ze mną – Grażyna Banaszkiewicz, Michał Januszkiewicz, Barbara Lempka, współpracowali – Paweł Krupka (Ateny) i Katarzyna Zagórska (Archangielsk).

W felietonie pt. „Skąd – dokąd?”, niesiony historyczną chwilą, pisałem:

Wchodzimy więc w to nowe millenium chyba z większą nadzieją niż przed tysiącem lat. Nie pamiętam bowiem z końca lat dziewięćdziesiątych XX wieku nagłych aktów zbiorowej hysterii, przerażenia, rozdawania dóbr doczesnych, aktów zmasowanej rozpusty i wytracania się do zera. A tak przecież było przed wiekami. Nasi praojcowie inaczej przyjmowali przełomy czasu. Jean Delumeau w swym „Strachu w Kulturze Zachodu” (jeden z rozdziałów pt. „Agenci szatana – Kobieta”) opowiada o eschatologicznym strachu, towarzyszącym nadziejom na narodziny nowego świata, o apokaliptycznych prorocत्वach, szczególnie wzmagających się na przełomie XIV i XV wieku. Bo millenium to czas Boży poprzedzający Sąd Ostateczny („Apokalipsa” 20 w.), okres szczęśliwości, cnoty i dobrych rządów. Czas, w którym spętano ciemnych, pełnych okrucieństwa mężów – Goga i Magoga, by dać człowiekowi szansę.

Jakże inaczej brzmią dzisiaj te zdania, gdy w uszach ciągle serie z Kałasznikowa oddane do bezbronnych mieszkańców Paryża, gdy uchodźców tysiące zalewają nasz kontynent a wielu zapowiada Finis Europae.

Reprodukcje prac Mistrza do 4 (10) numeru wyjęliśmy z pięknego katalogu pt. „Szkicownik”, wydanego w Zamku w 2000 roku przez kierownika galerii „Profil” Waldemara Idzikowskiego. Szczególnie zależało mi na rysunkach głów. Wiedziałem, że nie będzie łatwo, skoro artysta pisze we wzmiankowanym katalogu wystawy (współpraca Dariusz Joachimowski):

Właściwie to bardzo nieuczciwie pokazywać szkicownik z wyborem rysunków. Powinno być jak leci: dobre, złe, co oko zobaczy i głowa wymyśli. Jak leci. Françoise Gilot, trzecia żona Picassa, opowiadała mi, że gdy przyjeżdżali do hotelu, ona rozpakowywała, a Pablo siedział już ze szkicownikiem. „Patrz, jak się tu prześcieradło zwinęło dookoła nogi łóżka! A tam tylko trzy czwarte gołębia zasłonięte fragmentem okna” itp. Mam dwie szuflady pełne szkiców.

W tymże numerze Rafał Boettner-Łubowski komentował wystawę w „Profilu”:

Starowieyski zaprezentował szkice przygotowawcze do wielu swoich prac oraz cykl „Głowy filozofów”. Szkice rzadko kiedy bywają prezentowane publicznie – a szkoda, ponieważ mogą one dużo powiedzieć o specyfikach tworzenia związanych także z powstawaniem ostatecznych dzieł. Są one również dowodem poszukiwania zarówno: artystycznych koncepcji jak i pierwszych prób wspomnianych tu istotnych twórczych idei.

Układając historyczny, „przełomowy” numer „Protokołu”, zebrałem całą swą siłę i odwagę i sięgnąłem wreszcie po słuchawkę telefonu, by usłyszeć tubalny, niski głos Mistrza. Żałował, że udostępnił zamkowej galerii fragmenty szkicownika i dziwił się mej prośbie: wybierać z wybranego? Podwójna nieprzyzwoitość. Odwoływał się do mego poczucia moralności. Daje się całość albo nic. W końcu, jak mi się wydaje, przekonały go zdania o niskim nakładzie pisma, o jego charakterze – periodyku poświęconego literaturze, sztuce. Szybko odłożyłem słuchawkę.

Gdy odchodzisz

O święta sieroto
koczownicze serce!
Jak możesz wytrzymać ten ból?
Gdzie w nieprzyjaznym świecie ogrzejesz się,
nieszczęsne,
gdy męka pochłania wszystko do tej pory?
A ty byłaś błogosławiona
milcząc odchodziłaś,
tobie zdawało się szybkie szczęście miłsze
niż obsesyjne uczucia i słodka męka życia,
nawet przy pożegnaniu nie wspomniałaś o
niej.
Błogosławiona, ty wiesz, że tak mnie
zostawiwszy,
niczego teraz z sobą już nie zabierzesz,
sama siebie porzucisz i zaczniesz żyć,
błyszcząca,
jak odcięty kawałek szkła, jak ostry nóż,
w moim bezdomnym sercu.
Ale jeśli nie chcesz zabić,
nie dotykaj niczego, nie wyciągaj z rany
noża, który z taką miłością naostrzyłaś,
nie przestawaj aż do kresu dręczących dni.

Jeździec bez głowy

Bóg daje jednemu czaszkę,
drugiemu - głowę
a trzeciemu – nie daje ani jednego, ani
drugiego,
i wszyscy potulnie i pokornie przyjmują
ten dany im Boży dar ...
a więc
nie należy się wcale dziwić,
gdy jeździec - bez głowy,
przecież to wola Boża ...
Panie, zmiłuj się nad swoimi dziećmi,
bo naprawdę jest straszne,
gdy wrze pole bitwy
kiedy burza śmierci w górach i wąwozach,
a jeździec bez głowy dowódcą
konnego oddziału

Harmonia

Z ogrodu dolatuje soczysty zapach
wyczerpanego upałem koperku,
i pokrzywa, wysoka jak człowiek,
oparła się sennie o płot .

A łańcuchowe psy z kudłatą sierścią
wyły do księżycy całą noc na próżno,
nie mogły przestraszyć go jak ptaka,
i teraz niegroźne ich leniwe szczekanie.

Wsluchuję się w sens rozmowy listowia,
w jego gardłowy i zielony szept,
tak jak porzucona książka słyszy
oddech drzemiącej dziewczyny,
wiedząc, że nie może nic zrobić.

Ciszy światło i mądrość najwyższa
podpowiedziały prostą prawdę,
że straszne jest milczenie bez sensu,
lecz sto razy straszniejszy
jest bełkot ciszy, który słysząc,
ale który, niestety, jest niezrozumiały.

Jak spytać Matkę Naturę,
jej uniwersalną harmonię,
dlaczego od dawna będąc z sobą niezgodnie,
słyszę swój głos, ale nie pojmuję
żadnego z wypowiedzianych wyrażień?.

7.

zostawiam światło,
przedwieczne,
jak chwila stworzenia,

które jest nieskończone i tak czyste,
że człowiek chce
przed jego duchowym wyobrażeniem
zginać kolana i... płakać ...

Tłumaczenie z języka rosyjskiego: Kalina Izabela Ziola.

Gagik Davtyan – ur. 1947, ormiański poeta, tłumacz, członek Związku Pisarzy Armenii. Ukończył studia na Politechnice w Erewaniu. Pracował jako dziennikarz i redaktor. Autor kilku zbiorów wierszy. W 2015 roku ukazała się w Polsce jego książka „Koczownicze serce”. Laureat wielu nagród literackich.

Nie wypłyniesz poza swoją odysęję

fragment

Stoimy przed akademikiem. Jeszcze nie mogę otrząsnąć się z wrażeń lądowania. Nigdy więcej. Nie wiem, jak stąd wyjadę. Ciepło. Fale młodzieży, w tym dziewcząt, przepływają to w jedną, to w drugą stronę. Wzrok przywróci umysłowi równowagę. Budowle dokoła ceglane, solidne. Akademik w kształcie podkowy. Cztery kondygnacje pną się w górę, przykryte grafitowym dachem jak domek z kart. O ileż jednak mocniejsze. Nie oszczędzono materiałów na budowę. Norweska oświata mężnie pręży swe ramię.

Pani w recepcji wydaje mi się znajoma. Wyrazisty typ urody: bladeść licca i blond włosy. Głos uczonej. Mówi po norwesku, po czym, widząc moją minę, swobodnie przechodzi na niemiecki. Myśli, że już sprawa potoczy się gładko, bo jej oko portierskie znów wykazało się nieomylnością. Muszę ją zaskoczyć:

- Can we speak English?

Powinna więcej na powietrzu przebywać. Na bladym licu nie zakwita rumieniec, co byłoby niewątpliwym sukcesem ciała. I piękno zyskałoby na tej barw przemianie. Jedź do Polski. Tam zobaczysz feerie ognia na twarzy każdej portierki, jeśli gość zagada w obcym języku.

Portierka traktuje mnie obojętnie, jakby w lustrze oglądała rozdwijające się włosy. Anny w ogóle nie dostrzega. Siłę się na kumoterstwo, zbliżenie, przynajmniej symbiozę w tej krótkiej chwili rozmowy. Gdybym zaproponował kieliszek wina, który tylko na zdrowie by jej wyszedł (ależ nie mam wcale takiego zamiaru), spojrzałaby na mnie tym samym bezbarwnym spojrzeniem. Ale języki zna.

- A ta pani?

- To moja asystentka z Polski. Będzie mieszkała ze mną.

Będą problemy. Na rumieniec nie liczyłem, ale portierka ożywiła się. Fika nóżkami pod błatem szerokim jak szynkwias w „Leśnej”, aż drży jej szczupły biust. Znalazła punkt zaczepienia, nić, która wyprowadzi ją z labiryntu obojętności. I trzyma się tej nici kurczowo. Szczere chęci się liczą. I zmierza ku światu. Dzięki mnie. Wyjaśniam, a ona powraca do zapisanego polecenia: one person from Poland. Żadnej wdzięczności za wyprowadzenie z kazamat indyferencji, z okienkowego zamknięcia, za uwolnienie z pęt służalczości. Wyrasta ponad portierskość. Staje się panią. „Całujcie po rękach, panowie, a może dostąpić łaski dopuszczenia”. Twarda jest jak żona Wikinga; całowanie nie pomoże. Coś nawet zaczęła o naciąganiu rządu norweskiego, który w swej łaskawości... Może się przesłyszałem. A tu Anna w sukurs mi idzie.

- Poskarżę się rektorowi uniwersytetu za takie traktowanie. Przyjeżdżamy z wykładem na specjalne zaproszenie rektora i dziekana historii, a tu kłody, przeszkody... Nigdzie w Europie, a nawet na azjatyckich uczelniach nie zostaliśmy tak potraktowani.

Anka, biję pokłony. Znakomity respons. Boże, to cud chyba. Na licu portierki rozkwita nieśmiało różowy jak palce Eos rumieniec. Wyprowadzona została na światło dnia, na powietrze. Oddychaj, głęboko oddychaj! Terapia szokowa, w której efekty zazwyczaj wątpię, święci tryumfy. Portierskość skryła się za kobiecością, co mówię, za ludzkością.

- Dobrze, ale trzeba zapłacić za dodatkowe miejsce.

- To chyba oczywiste.

Mocny akord na koniec. Anna podkreśliła grubym flamastrem wyższość swojego rozumowania nad portierskim uporem. Portierka zaś znów zdrętwiała, zbladła i zapadła się w sobie. Spojrzę na nią spod przymrużonych powiek. Może się zdradzi jakimś gestem, grymasem i okaże się, że tylko udaje. Nieprzenikniona jak lalka. Wikingowie i ich żony są twardzi jak skalista ziemia przodków. Otrzymałem klucz z gruszką, owoc wspólnego wysiłku. Trzymam go w dłoni i patrzę jak król na swe królewskie jabłko. A kątem oka na portierkę. Coś niebywałego. Wyszła z kolapsu. Wielki wybuch jak ten u samego zarania świata. Łypnęła na mnie lewym okiem.

Czwarte piętro z widokiem na parking. Poddasze, bo jakże by inaczej. Już zdążyłem głową trącić pochyłość sufitu. Poddasze mnie przygnębia. Jedyne lekarstwo to patrzeć przez okno. Za parkingiem wzniosłe budowle, wielka herezja dwudziestowiecznej architektury. Pozorny powrót do jaskiń, nor i ziemianek, uporządkowanych jednak, spiętrzonych i bez reszty rozkochanych w kwadraturze. Vivat angulus rectus! Cegła, stal i szkło. Ile prostokątów widzisz na zamieszczonej ilustracji? Tysiące. Aż wzrok kaleczy.

Ziemia przynosi ulgę i ukojenie dla myśli zgnośćonej, przytłoczonej, poranionej kątami prostymi. Trawniki. Zielone połacie poprzecinane ścieżkami, nie równymi jak kamienne rynsztoki, ale zawiłymi, krętymi i złotymi jak korony władców. Nieodgadnione geometrycznie krzywe, wyrosłe z tęsknoty do piękna i odmienności, z rozmarzenia podczas sennej wędrówki na zajęcia. Na was, ścieżki złote, będę patrzył.

Anna już rozpakowała nasze walizki. Zdążyła ułożyć rzeczy w pryzmy i sterty, warstwa na warstwie jak cegły budynków, na które patrzyłem. Na szczęście kąt prosty jest miękki, zdarzają się nierówności, a kolory przeplatają się w najdziwniejszych zestawieniach.

- Wiesz, czasami myślę, że wszystko jest takie samo.

Zobaczysz, że Anna weźmie to do siebie. Bez żadnego wprowadzenia, ni stąd, ni zowąd, wypowiedasz epistemologiczny sąd, którego omówieniu poświęcono wiele uczonych tomów. Podajesz go w sposób niejasny i zawikłany. Chyba że to psychologiczna obserwacja, która rozkwitła jako wyraz sprzeciwu przeciwko lataniu. Powinieneś raczej stwierdzić, że poza lataniem wszystko jest tak samo. Już zapomniałeś.

- Chcesz mnie z kimś porównać?

A nie mówiłem.

- Nie to miałem na myśli. Wyrząłem przez okno i zobaczyłem to, co jest wszędzie. Mogliśmy zostać w domu i byłoby tak samo.

- Wydaje mi się, że usiłujesz wyprzeć swój lęk przed lataniem, lecz nie poprzez odrzucenie czy zapomnienie, a nawet nie przez bagatelizowanie, ale przez połknięcie. Chcesz go pochłoniąć,

utożsamiając z resztą świata. Szare jest wszystko, toteż szare jest także latanie.

Zaskoczyła mnie. Płomień od ust po czoło. Anna czyta w moich myślach. Muszę uważać, o czym myślę. Co prawda wniosek odwrotny do mojego wyprowadziła, ale tematycznie związany, bardziej przenikliwy i podstępny.

- Skąd wiesz, że o tym właśnie myślałem?

- Skoro wszystko uważasz za obojętne i nieróżniące się między sobą, nie powinienes wyróżniać w żaden szczególny sposób latania. A jednak to uczyniłeś. Zachowywałeś się przed lotem i podczas lotu nerwowo, zaczeplenie i bojaźliwe. Staraleś się nieporadnie ukryć przede mną swój lęk. Już wtedy wiedziałeś – myślę, iż podświadomie doświadczałeś podobnych stanów wcześniej – że nadejdzie czas szarej mgły, w której ukryjesz swoją słabość. Przywołałeś mgłę i otuliłeś nią wszystkie odczucia, a wśród nich lęk przed lotem. Nie pomyślałeś jednak o tym, że z czasem będziesz musiał ową mgłę rozpędzić, aby nie odbierać sensu całemu swojemu życiu. A wtedy twój lęk znów wychynie. A chodzi o to, żeby się pozbyć go na zawsze.

Chyba buzię otworzyłem podczas tej perory. Zatkalo mnie. Zapowietrzyło. Odebrało mi mowę. Cóż za głęboka introspekcja duszy, mojej duszy. Sam bym na to nie wpadł, że tak potrafię się oszukiwać i tak łatwo można mnie rozszyfrować. Genialne, choć za mocno psychologiczne, a psychologii nie lubię, ponieważ na wszystko znajduje wytłumaczenie.

- To jak mam się tego lęku pozbyć?

- Zależy, jaki to lęk. Z tego, co widzę, powinienes więcej latać.

Dziękuję za taką terapię.

- Latanie nie leży w naturze człowieka. Możemy zazdrościć ptactwu, Dedalowi, Alladynowi, ale i tak skończymy jak Ikar czy Bellerofont. Nie porywajmy się z motyką na słońce. Mój lęk jest pierwotny jak grzech pierworodny, który rozciąga się na wszystkie pokolenia po Adamie. To lęk przed ludzkim niepohamowaniem, przed bitewnym podnoszeniem miecza na kanoniczne prawa natury, przed marszem bezmyślnym technicyzacji życia, przed relatywizmem myślenia i moralnej oceny czynów.

- Samolotem poleciałeś. Ludzkie niepohamowanie też okazałeś: kto rzucił się na mnie, ledwie mnie ujrzawszy? Z lodówki, pralki, telefonu i samochodu też korzystasz bez wyrzutów sumienia. Oceniasz ludzi tak, jak ci wygodnie, vide Trybusiewiczowa. Popelniasz ten sam grzech, co wszyscy.

- Ale się go lękam, kiedy inni w ogóle go nie odczuwają. Lęk powstrzymuje mnie przed wieloma czynami. Czy napijesz się becherovki?

- No pewnie.

Wreszcie rozsądny głos za plecami Freuda. Kieliszki? Niewielkie szklaneczki o przezroczystości policyjnego koguta. Bardzo poręczne. Mogą służyć do picia zimnych napojów i trunków, prócz piwa. Na piwo zbyt mała pojemność. Nie są to z kolei ruskie stakany. A zatem pozorom i rzeczywistości zadość. Wypijemy i w teren. Mówiłeś niedawno, że wszystko jest takie samo. Cioran też mówił podobnie, a rowerem zjeździł całą Francję.

- To jeszcze po jednym, bo liczba dwa otwiera świat.

- Masz własne wierszyki na ten temat.

- Skupiam uwagę na tym, co czynię. A ciebie Kocham.

Chybaś zwariował.

W takiej chwili, o miłości? To Nr 54/55/2015

ja, twoje własne „ja”, dowiaduję się o tym na końcu? Nie wiem, czy jesteś moim „ja”. Ale informuję, że ta kobieta, którą kochałem niegdyś jako znacznie młodszą, jest nadal moją miłością. Widzi głębię. Jeśli ktoś, stojąc na dachu, czystym jak śnieg wnioskowaniem przenika do parteru i zwiedza długie jak bieżnia korytarze, jest moją miłością. Taka jest Anna.

- Wariat! Nigdy nie wiem, kiedy wyskoczysz z jakimś szaleństwem... Też cię Kocham.

Nie należy wędrować głównym traktem i skręcać pod kątem prostym w najbliższą przecznicę, myśląc, że się zgubiło tropiciela. Taką drogą możesz prowadzić dzieci do przedszkola. Po to państwo buduje ulice i skrzyżowania, żeby kontrolować, sprawdzać, poddawać obywatela nieustannej inwigilacji lub choćby wywierać takie wrażenie. Podobnie biec mogą drogi myślenia. Łatwo je przebyć i łatwo je śledzić. Żeby uniknąć perustracji należy przesywać trawniki zawiłym ścięgiem, skracać drogę lesistym wąwozem... A kuku, tu jestem. Należy przemierzać szczyty, jeśli wiadomo, że po przeciwnej stronie otworzy się nikomu nieznanne zejście w dolinę, lub iść dookoła, krętą drożyną, która do miejsca takiego doprowadzi, że zakrzykne: „Wiedziałem!”, a nie wiedziałem. Tam już nikogo nie będzie, a tylko piękno jak klosz otwarte. Nie należy myśleć w sposób przewidziany, a przynajmniej jak najrzadziej. Światy myślenia są zawsze osobno, ale niekiedy, nawet na tych najbardziej niedostępnych ścieżkach...

Andrzej Katzenmark urodził się w Słupsku w 1968r. Ukończył filologię klasyczną. Literaturę zajmuje się, od kiedy sięga pamięcią. Za „Granice i przełomy”, otrzymał w 2004 roku pierwszą nagrodę w konkursie literackim Uniwersytetu Gdańskiego. W tym roku ukazało się wznowienie tej prozy.



Piotr Bagiński

Motto:

*Ruszaj się ,Bruno idziemy na piwo;
niechybnie brakuje tam nas!*
Edward Stachura

Pamięci *Ryszarda Milczewskiego - Bruno*
Edwarda Stachury i Janusza Żernickiego

Postimpresjonizm

Przeciekają przez palce chmury
jak w snu dużych źrenicach
w cieniu nieoswojonym się przeglądam
który mnie wyprzedza
w kark kłują ostrza dnia
chodzę w kierunku wskazówek zegara
zegary cicho marzą o wieczności

zasłuchało mnie nieśmiało
w popodróżne cichokrzewy
aż język ucieka apetyt taki
w tłuste błoto podbiało podbiega
śnieg zawilec ociepką
zasłuchało mnie
nieśmiało popod mostem się jąka
liżąc buty leśmami brunnie

tyle przeumieranych krajobrazów
drogi do nieszawy drogi do konecka
drogi do koła
nieznane ich cele
na świeżą podróż się zbiera
jak pęk w wielkim poście
odległości przypadają do nóg
i zwołują się zapachy
palonych traw i mostów
umarłe widnokrepi
ich wibrowanie jak alkoholu
kobiety i lustra
w niebieskim kuflu
pieni się gorzkawa zieleń
który z brunem stodem i januszem
pije piwo świadkiem
On krew buty i wiersz

uparcie w oczy patrzy
jednooki widnokraż
po-drodze i na-chwilę
jest na pustych szosach
mijają mnie ludzie
mijają ludzie
w odległe mi się idzie
a itaka w coraz inne
zbiega okoliczności

Maciej Raś

Notatki skrupulatne (II)

mężczyzna w Środzie Wielkopolskiej
wytrwale gonił ruszający pociąg
by tuż przed końcem peronu
okazać pasażerom swe pośladki.

Kiedy pospiesznie odpinał pasek od spodni
i kiedy trwał w wypiętej pozycji pomyślałem,
że nowina, którą w ten sposób zwiastuje
jest dobra. Uśmiechnąłem się delikatnie

Notatki skrupulatne (III)

dzisiaj nie ma umierania. Dzisiaj
świeci, że nie widać żadnej rzeczy
z której umieranie jest zrobione
ani żadnych innych rzeczy, które

można by jakoś złożyć i powiedzieć:
umieranie albo coś podobnego,
co też pani mówi, o tym nie wiedziałam

Maciej Raś – urodzony w 1990 r. w Krotoszynie.
Mieszka i studiuje w Poznaniu. W 2013 wydał tomik
pt. „Pasma” (Grand Prix w konkursie
o Granitową Strzałę, Strzelin 2013). Poza tym
napisał i opublikował niewiele. Pisze bez pośpiechu.

Katarzyna Michalewska

Zwiastowanie

Fra Angelico

Ziarno
wczesnym deszczem
zapukało w ziemię,

jak ciemność
pytania

zanim Słowo
w dziewiczych ustach
Rodzącej

Wy-jaśnił
Cień

W witrażach
wcieleniem
słonecznego światła

zakiełkowała

Odpowiedź

Barbara Kęcińska – Lempka

Płaszcz Konrada

*Ojczyzna moja wolna, wolna
więc zrzucam z ramion płaszcz Konrada
(Kazimierz Wierzyński)*

Zrzucający w szatni „Adrii” futra
i płaszcze z wielbłądziej wełny
patrzyli na niego z niechęcią:
Taka starość,
wyleniały kołnierz, przetarte rękawy,
nikt nie włoży czegoś takiego- mówili.
Wieczorami przyszywałam guziki
i nadprutą podszewkę
cerowałam rękawy.
Przykrywali się nim
pod zimnym niebem Kazachstanu
w chłodne noce w lesie
w Warszawie na barykadzie...
Zapomniany wisi teraz w przedpokoju
Ubrani w kurtki z goreteksu
i sztuczne kożuszki
patrzą na niego z niechęcią:
Taka starość
Wyleniały kołnierz, przetarte rękawy
nikt nie włoży czegoś takiego.
Wieczorami przyszywam guziki
i nadprutą podszewkę
Ceruję okrągłe dziurki na wysokości serca
i na kołnierzu
(ktoś podniósł kołnierz, gdy strzelano w tył
głowy)

Za podszewką okruchy chleba
w czerwcu 56 włożono do kieszeni
suchą skibkę,
w grudniu 81 przyszyto nieudolnie
warstwę starej wataliny
zima była ciężka...

Wieczorami
naprawiam płaszcz
Jeszcze się może przydać

Sebastian Nowak

Kominiarz nadziei

Czarny sufit
może i przygnębia
ale nie zasłania
widoku na morze

ławicę gwiazd

Christian Medard Czerwiński

Niepomni

*(...) jaki czas o nas się dopomni
nie wywołanych z klisz historii?*

Jerzy Tomaszewicz (1944-2001) -
Romantyczny buntownik dzisiaj

...jest nie tak, jak być miało,
na białym sztandarze rozsypane,
niegdyś spójnie krwią wypisane litery.
Głosu Boga nie słysząc w kakofonii fałszów.
Więdną bukiety poezji pisanej na świadectwo
prawdy.

Żywimy się ścierwem tamtych, dawno
zapomnianych,
powstałych z ich wielkości i zatraconym z
własnej pychy;
z ruin wygrzebujemy ich mirażę dopisując im
chwałę i czyny.

Kajamy się, by z sybillińskich źródeł czerpać
słodkie soki,
płynące z krynicy, w którą chcemy wierzyć
ciągle jeszcze, zanim piasek klepsydry nie
zasypie nam mózgow.

Lecz jaki czas o nas się dopomni?
Niepomni historii w fatum niezgody od Boga
czekamy
na podanie ręki, by podniesieni znów oddać
się waśniom;
za późno strach nas przenika i chce się nie
kłękać lecz zakląć...

Aldona Szymko

Nad morzem

Jak długo tu siedzę
- nie wiem.
Morze ma dzisiaj humory.
Raz gniewne jest, raz rzewne.
Spokojem matczynej dłoni
uciszam je cierpliwie,
lecz nie chce posłuchać.
Wzburzona balia
- ciało rodzzonego dziecka.

Dziwię się toni,
skąd w oczach moich
tyle było miejsca.

Maria Magdalena Poczaj

Srebrne pisanie

Są książki, które dziwnym trafem odnajdują nas same... Mając w pamięci przeczytaną niedawno prozę amerykańskiego neurochirurga traktującą o życiu w zaświatach, mimochodem sięgnęłam z półki tomik. Już sam tytuł „Po wyszczerbionym obwodzie świata” był dla mnie jak zaczerpnięcie oddechu przed wyruszeniem w podróż stronicami książki, tym bardziej, że pierwszy wiersz nosi tytuł „Idziemy”. W kolejnym autorka Brygida Mielcarek pisze: *Nic nie wiemy o drogach, które ludziom kaleczą stopy*. Przyznaję, że zaintrygowana, na stojąco i niemal na wdechu rozpoczęłam swoją wędrówkę. Strona po stronie, wiersz po wierszu poznawałam niecodzienne literackie obszary i krainy. W pewnej chwili nasunęło mi się przypuszczenie, że większość tych wierszy pisanych jest pod dyktando jakiegoś wewnętrznego głosu, silnego duchowego impulsu. Bynajmniej nie chodzi mi o żaden twórczy imperatyw, to swoiste poetyckie przynaglenie, bez którego poeta w zasadzie niczego napisać nie zdoła. Tu odczuwa się jakby rodzaj szczególnej intuicji, przeczuca, żeby nie powiedzieć - prorocstwa. Brygida Mielcarek niejednokrotnie w swoich tomikach przywoływała temat śmierci i nieskończoności wszechświata. Pisywała o Bogu jako Absolucie, próbowała dotknąć pierwiastka metafizycznego, tym razem zaakcentowała pojęcie wieczności ludzkiego życia.

I ten aspekt jakże wymownie łączy się ze wspomnianą na początku lekturą książki amerykańskiego lekarza. Być może dzięki niej trzymałam w ręku klucz, którym otwierałam w miarę swobodnie drzwi, za którymi czekało stworzone przez autorkę poetyckie Nieznane. Nie chcę tu analizować poszczególnych wierszy, rzetelniej zrobią to recenzenci. Natomiast pragnę zwrócić uwagę na to, czym one tchną. Mogłabym ująć to tak: z niedoskonałej formy przekazu emanuje treść o dużym duchowym bogactwie i właściwie daremne byłoby cyzelowanie, doskonalenie kształtu słowa, skoro i tak będzie to zaledwie próba wyrażenia tego, co w istocie słów nie potrzebuje. W całej swej toporności mieni się, promienieje cudnymi przesłaniami: *Spotkałam rzekę, w której zamiast wody płynęło światło, każdy człowiek jest ważny, to czas na ocalenie człowieka, w każdym jest miejsce na miłość*. Tutaj musiałam się zatrzymać, pozwolić sobie na wzruszenie wobec prostoty i wagi tych kilku zdań. Lubię takie odkrycia, momenty zaskoczenia, zadziwienia. I kolejny: poetka w wierszu zatytułowanym „Do...”, zamiast prośby, czy wręcz błagania kierowanego do Stwórcy, zawiera jasno sprecyzowane potrzeby ludzkości: *Muzyki nam trzeba / jak ognia / który oczyszcza / nadziei nam trzeba obiecanej / nie Apokalipsy / Czasu potrzebujemy / byśmy mogli się w nim / zakotwiczyć*. A więc to żywioł muzyki ma dokonać oddzielenia ziaren od plew, jej płomień ma trawić jak w tyglu, wybielać, wynosić na wyżyny wieczności. Nadzieja ma być zagwarantowana, nie tylko spodziewana, a czasu powinno wystarczyć

każdemu, by zdążył się przygotować na to, co ma niechybnie nastąpić. Zaiste, mocne to postulaty w kontekście światopoglądu, wyznawanej wiary, duchowej postawy. I kolejny cytat, zmuszający nas, by przystanąć w tym wymyślanym wędrowaniu: *Istnieje granica zdziwienia / przed którą się zatrzymuję / i pytam: / Czy to nerwica artystyczna / Czy trzeźwy ogląd świata*. Ludzie uzdolnieni artystycznie zwykle posiadają większą wrodzoną wrażliwość. Potrafią widzieć wyraźniej, patrzeć głębiej, wnikać niekiedy w strukturę rzeczy. Żeby jednak nie przeceniać ich możliwości, można założyć tezę, że zbyt drażą, a nie zadowolając się pierwszym wrażeniem, często burzą istniejący porządek, szukając czegoś na dnie. To niespokojni poszukiwacze, szperacze, wciąż głodni zmian i odkryć, kreowania własnych wizji. Nie cofają się i przed szokowaniem innych, byle tylko zaakcentować własną odrębność twórczą, swoje artystyczne widzenie.

Jakże często mamy z tym do czynienia na polu sztuki współczesnej, która momentami przeraża, nie mówiąc już o oddziaływaniu obrazoburczym, obnażaniu najniższych ludzkich instynktów z jednoczesnym godzeniem w wartości najwyższe. Poetka użyła określenia *nerwica artystyczna...* Może ma rację, może to rodzaj choroby, jakiegoś wynaturzenia, skrzywienia, nad którym artysta nie jest w stanie sam zapanować. A może to świat stał się własną karykaturą i postrzega się go już tylko jako odbicie w krzywym zwierciadle? To zatrważające, zwłaszcza że odpowiedzialność za taki stan rzeczy spada na człowieka. Wracając do książki Brygidy Mielcarek, nie mogę przejść obojętnie obok wiersza pt. „Popatrz”. Zacytuję go w całości, przy czym pozwolę sobie zostawić go bez komentarza. Uważam, że jest z gatunku tych, o których powinno się milczeć, spokojnie poddając się wewnętrznemu drzeniu: *Niebo nie mówi / a ty patrzysz ciemnymi oczami / Nie masz prawa tak patrzeć / nie masz prawa mówić źle / Mówią tylko Matki / wymawiają imiona dzieci / Przykrywają je jednym Niebem*. Tego typu akcenty, dominanty słowne są jak namalowane na obrazach świetlne bliki. Na potwierdzenie tego: *Niektórzy mają w sobie tyle blasku / są utkani jakby ze światła*. Chciałoby się takie zdania czytać po wielekroć, powtarzać jak mantrę, zwłaszcza, że spotkać przenikniętego jasnością człowieka, to dzisiaj wielka rzadkość. I kolejne wzruszenie: *Piękno jest proste / wierzę w prostotę*.

Natomiast w odniesieniu do poszukiwania i próby sprecyzowania tego, Czym albo Kim jest dla niej Bóg, w wierszu „Po śladach” przyznaje sama przed sobą: *Tłukłam skrzydłami niewiedzy*. Ostatecznie jednak powie: *Znalazłam ślady Twego zamysłu*. I choć stwierdza, że samo pojęcie Stwórcy ją przerasta, to jednak wie, iż jest to odczucie tylko chwilowe. Jako poetka wychodzi z cienia własnego krzyża i w ostatnim wierszu, zatytułowanym „Pisanie” mówi: *Nie pisz czarnym atramentem /.../ pisz fioletem i złotem / niech zadzwonią srebrne słowa / które są językiem ducha*. Przeczuwa jakąś nieopisaną, przyszłą radość, mającą się spełnić.

Brygida Mielcarek: „Po wyszczerbionym obwodzie świata”, Wyd. ZLP, Oddział w Poznaniu, Poznań 2014.

Stanisław Swarc

Spacer

Leśna droga kończyła się na szosie. Zatrzymał się trochę zdezorientowany. Nie, doskonale wiedział, gdzie jest. Tyle razy oglądał to miejsce z okna samochodu czy autobusu, widział, jak się zmieniało, ale teraz szukał tamtego – sprzed wielu lat. Jakichś punktów orientacyjnych, czegośkolwiek. Niedaleko na wiadukcie nad torami kolejowymi tylko migały samochody. Zaraz, wiadukt musiał być na miejscu dawnego przejazdu przez tory, więc chyba wyszedł z lasu trochę za daleko. Ślimacznice wjazdów myliły odległość.

Tamten krajobraz pamiętał dobrze. Wysiadali na pętli autobusu i zaraz przez tory do lasu. Chyba że pociąg jechał. Stał wtedy przy szlabanie i liczył wagony. Jak każde dziecko, dumne, że posiadało tę umiejętność. Za torami, jeszcze zanim las się zaczął, była taka łączka rzadko porośnięta samosiejkami sosen i dębów. Zawsze szli przez tę łączkę i zawsze natykali się na zapomniany cmentarzyk. Szukał go teraz.

Po drugiej stronie szosy w głąb lasu ciągnęła się asfaltowa droga. Po jej lewej stronie wysoki las, po prawej właśnie taka łączka, jaką pamiętał. Przekroczył szosę i odruchowo skierował się w prawo. Wydeptana w trawie ścieżka szybko się skończyła i brnął teraz przez wysokie trawy. Grobów ani śladu. Zawrócił w stronę asfaltówki. Może w głębi lasu lepiej się zorientuje. Była tam taka dość szeroka droga ze starym sosnowym lasem po jednej stronie. Asfaltówka łukiem skręcała w prawo, w stronę zabudowań niedalekiej fabryki, ale prosto ciągnęła się dalej właśnie taka gruntowa droga. Rozejrzał się uważnie. Na samym zakręcie pod dwoma wysokimi dębami resztki bramy i parkanu, krzyż otoczony betonowym murkiem, kilka grobów ze starymi, wypalonymi dawno zniczami, z bukietami sztucznych kwiatów, reszta grobów majaczyła w gęstwinie. To było to miejsce. Tu zaczynały się ich wyprawy na grzyby.

Po co ja tu właściwie przyszedłem? Obejrzał się na niebo. Chmury ciężkie, ale chyba nie będzie padać. A poza tym, jak już jestem, to nie ma co się spieszyć. Mało to razy zmkłem? Ale po co? No, tak. Mogą być podróże sentymentalne, może być i spacer sentymentalny do podmiejskiego lasku. Wspomnienia młodości? A co ja tak naprawdę pamiętam? Usiadł na betonowym murku otaczającym krzyż. Oddzielić to, co wiem. Wiem, że miałem siedem – dziesięć lat. To musiała być sobota, nie, chyba raczej niedziela. W sobotę, zanim ojciec przyszedł z pracy i zjadł obiad, byłoby za późno. A może lato i czas urlopu? Ale co ja pamiętam? Czasem mówimy – to miejsce budzi tyle wspomnień. Jakich? Jak konkretnych? Odzierał swoją pamięć z nalotu późniejszej wiedzy, z widoku fotografii tyle razy przeglądanych, jakby banana za skórki obierał.

Cmentarzyk... tak, w pełnym słońcu... olbrzymi prawdziwek, który rósł pod jakąś gałęzią i zwinął się kapeluszem w dół... niezwykły grzyb w kształcie gąbki, troskliwie niesiony do domu i ten żal, że mama nie chciała uwierzyć, że jadalny... to chyba wszystko. Nie pamiętał nawet, czy to był na pewno autobus, czy może trolejbus.

Więc po to tu przyszedł? Po takie duperele? A może szło o jakieś idiotyczne

dowartościowanie? Że orientuje się w terenie, że pamięta, co gdzie było pięćdziesiąt lat temu? Niemożliwe.

A może o ojca? Był i nie był. Zajęty, zapracowany. Przychodził z pracy do domu, zjadał obiad, chwilę czytał gazetę i siadał do warsztatu. Potrafił tak siedzieć do kolacji i nie wolno było o tym nikomu mówić, bo to była taka robota na czarno. Oschły... a może tylko nieśmiały? Niedziele należały do nich dwóch. Mama rzadko ruszała się z domu. Wiosną szukali skowronków nad polami okolicznych wsi, późnym latem i jesienią przyjeżdżali właśnie tu. Tylko dlaczego nic nie pamiętał poza takimi śmiesznymi drobiazgami i może jeszcze tym, że było pięknie... Tylko co to znaczy – pięknie? Nawet twarz ojca tylko z fotografii, taka zastygła.

Niewygodnie było na niskim murku. Wstał. W końcu jak tu jestem, warto zobaczyć, co to za cmentarz.

Dziwny. Ostatnie pochówki z czasu, gdy miał trzy lata. Więc kiedy tu przychodzili, cmentarzyk był od jakichś siedmiu lat nieczynny. Wcale nie taki stary. A i teraz na swój sposób zadbane. Ktoś powtykał w ziemię kawałki gałęzi z przybitymi poprzeczkami także z gałęzi. Wzruszający był widok łąnu konwalii falującego w rytm prawie niewidocznych, osuniętych w ziemię kopczyków, a nad nim taki sam rytm gałęzianych kołków zastępujących krzyże. Nieliczne nagrobki były w zadziwiająco dobrym stanie. W kącie pod przerdzewiałym siatkowym parkanem zagadka. Na krzyżu tabliczka – „Tu spoczywa moja córka i siostra”. Imię, nazwisko. Tylko jedno.

Jeszcze raz spojrzął na niebo. Jeśli miał nie zmknąć, to trzeba było pospieszać. Gdzieś trochę dalej było leśne oczko. Był tam jeden raz, chyba z kolegami. Kolejna część spaceru sentymentalnego? A niech tam.

Znacznie później w domu, już miał kliknąć – „zapisz”, kiedy coś go tknęło. Przeczytał jeszcze raz.

Tekst był niemy.
Jak niemy film.



Kacper Płusa

Spowiedź n.n.

Wczoraj Pan mój przemówił do mnie głosem pacjentów łódzkiego szpitala psychiatrycznego. Ostatni raz czuwałem po jego prawicy klęcząc na moście anioła czwartego lutego 2010. Latarnie jak pektorał roznosiły światło zamiast hostii. Byłem jedynym wiernym, który Pragnął oczyszczenia w świętej rzece jordan. Nie pamiętam więcej ponad siedem grzechów: Pychy, prób samobójczych, zaciśniętych pięści, sypania na dworcach, dzielenia się ostatnim szlugiem

Z braćmi po szaleństwie, świętokradzkiej komunii z ciała kobiety i wina komandos. Więcej nie pamiętam. A mój grzech zaczął się od słowa, które próbowałem zniewolić na swoje Podobieństwo. Żałuję każdego przejeżdżającego pociągu. Z podróży czerpałem naukę. Lekarze zabraniają mi pokuty. Rozlania ofiarnej krwi na torach kolejowych. Na rozgrzeszenie nie czekam. Wiosnę obejrzę zza krat separatki, więc piszę do Ciebie Boże.

Kacper Płusa wydał tom poetycki „Ze skraju i ze światła” (Łódź 2012), za który otrzymał Nagrodę im. Kazimierzy Iłakowiczówny, był nominowany do Nagrody Literackiej Gdynia. W roku 2015 zdobył I nagrodę w XXIII Ostrołęckim Konkursie Literackim im. Dionizego Maliszewskiego „I chcę tej ziemi być wierny...”. Za wiersz „Spowiedź n.n.” otrzymał w roku 2013 nagrodę główną VIII Ogólnopolskiego Konkursu Poetyckiego im. Łucji Danielewskiej.

Barbara Tylman

Podejrzane

Ta grząska ulica gdzie
pod czerwonym wiatrakiem
dziewczyny o mięsistych także
czerwonych ustach a faceci
w skórzanych płaszczach pomiędzy
papierosami cedzili słowa
jeszcze istnieje choć jakoś mniej
Kawiarnie pękają w szwach od dymu
i lanego piwa wieczorną porą do Opery
chodzi się w zdeptanych pepegach
dżinsach i swetrach
kwiaty w gazonach więdną już
z samego rana
W parku Wilsona ławki przydatne
starym i młodym bezrobotnym
snują się jak psy bezpieczeństwa pary
bezdzielne i bezpłciowe

Ech, poeci. To już inne pokolenie
o czym jeszcze mogą pisać którzy
nie widzą co widzą

Juliusz Rozmiłowski

Nostalgia

Jest pochylona
w zaplątane smutki
z obolałym czasem

Pozłacane liście
w alejach i rowach
bez adresu
Konary i gałęzie
sterane wiekiem
milczą w prześwicie
Chmury
odsłonią minutowe słońce

Zrumienione owoce
zatraciły wartość
nadzieja odroczone

Jabłko – insygnium na Ziemi
oskarżone drzewo w Trybunale

Jacek Durski

Przestrzeń

Od środka oka panorama Wszechświata. Zbiór boskich przestrzeni, ruch mas, wnętrza wypukłych. Przewija się wokół. Znowu muszę zachwycać się Bogiem zamknięty na Ziemi.

*Wiatr koloru na stopniach dźwięków
Zapach błękitu
Wlewam twarz do morza
Samotność siwa
Zgubił kolor barwę*

Znowuż nasiąkam źródłem Pana. Moim Pierwszym Źródłem. Rozwija się obraz duszy. Z kropel rzeźby. Las w niebie, niebo w stawie. Na wyżynach z chmur spacerują Anioły, zbierając pióra martwych ptaków. Włosy Anielic rozpięte do pomarańczowego widma. Czekają na pisarza. Tylko mój Anioł Stróż blisko. (Pilnuje, abym znowu się nie ożenił). Pochyla się nade mną błękitnym cieniem, zniża niebieskość. Kiedy śpię bez ciała, w śmierci.

Wszechobecne piękno Jutrosina. Prozaik w skrzydłach bocianich otwiera boski pejzaż. Skłon światła, wielość barw, zapachów. Dzięki Stróżowi rozumiem słońce w oknach ratusza, drzewa w kwadracie rynku, drzewa na uliczkach, miasteczko oświetlone niebem, Ziemię w całości. Przyspiesza wyraźnie. 12 Hz wibracji.

Wybuch mózgu otworzył skroń. Porostam lasem, człowiek z igliwia. Widzę koronę sosny. Cicho. Czuję w kościach źródło Orli, kryształ luster moich. Mam go na biurku zamiast kartek. Błąd czysty do pisania o prawdzie. O mojej prawdzie. O prawdziwie bohaterów moich książek. O węzłach z krzywych dróg.

*Płynę pod trawą Jutrosina
W trawie dziwna przestrzeń zmarłych
Jasno w ciemnościach
Świeci gwiazda z Orionis*

Zbyt wysoko spojrzałem, zbyt szeroko w ciasnym. Rzeka Orla nade mną. W niej rozmowy jutrosinian, szepty z wody. Wołanie dzwonów niedzielnych Kościoła św. Elżbiety, dzwonek zmarłych.

Słyszę w falach sygnaturkę z mojej pracowni. Została tam na kawalecie z sercem drobnym, czekając na rzeźbiarza, który zaczął pisać. Płynę dalej pod łąką. Pod prąd ziemi. Wysoko cień kasztanowca. Czuję jak pęka owoc rozłupany biało w dłoni wiatru. Widzę brąz okrywy, sienię ciemną, kolce Veronesa. Coraz lepiej rozumiem przyrodę. Jej przestrzeń rozległa, jej gąszcz. W mojej dłoni biedronka. Rozwieram szerzej palce. Leć, przyrodo, z moim światem, do Boga, dla Boga. Poznałem też kosmos za jego horyzontem. Jedność przestrzeni, jej kotłowanie. Ruch Boga na biegunach. Nieraz czule huśta, a czasem za bardzo. Stopy Jego na południkach Wszechświata. Nieskończenie wiele wymiarów. Niemoc w próżni. Jedność straszna w przestrzeni.

Chciałbym zmienić linie Wszechświata.

Za horyzontem kosmosu otwiera się nieznana galaktyka, z nieznaną planetą. Zaglądam w otwartą kulę. Niebieski las z niebieskim zapachem. W nim dzieci pragną być dziećmi Ziemi. *A może to dzieci nienarodzone? Usunięte kiedyś z naszego życia?*

Zostawiam nową planetę, niebieski las i osuwam się na naszą

PROTOKÓŁ
LITERATURY

Nr 54/55/2015

Ziemię. Wracam w jednej chwili do najbliższych i do kilku czytelniczek. Mam dla nich kolor młodości. Będą jeszcze piękniejsze i będą miały mnie za co podziwiać. Przedtem szalały tylko za prozaikiem, aby nauczyć się szaleństw. Ich mężowie tacy nieseksualni nie wiedzieli gdzie obszar G. Musiały im pokazywać ten punkt członkiem z sex-shopu. Stękać głośno za stare pierdoły, aby zaciekawić sobą młodych sąsiadów.

- Może zwariujesz, stale myśląc o pieprzeniu - zaśmiała się Magda, żona-nieżona. - Na pewno zwariujesz. Tylko nie w mieszkaniu, nie w Katowicach! Zrób dobrze mózgowi poza Ziemią. Na pewno dostrzeżesz tam jej zerwaną obręcz. Rozleci się planeta, buchnie ogniem - zatańczyła na krześle hula-hop.

No to wracam na M43 do tamtych dzieci. Wychowam tysiące. A potem w gwiazdach będę żłobił opis historii Ziemi.

Jestem już w niebieskim lesie, nie ma dzieci, zabiła ich ulewa jąder atomów, dokładniej niż noże lekarzy. Tylko niebieskością wirują koła Kosmosu. Drżą, przybierając na mocy. Obrót coraz szybszy.

*Przyspieszam któryś krąg
Omega gęstość świata
Dotknę kulę asymetrią*

Znikną kości moje. Zniknie wszelka przestrzeń. Ani światła, ani cienia. Nikt nikogo nie widzi. Dotyk tylko.

Zaglądam też do kul z nie-materii. Nie wiem z czego. Wszedłem w przestrzeń abstrakcyjną. Najlepsza przestrzeń dla malarza. Toczą się promienie kołem, aż do ziemskiej przestrzeni. Piję z radością metr sześciennego nieba. Z trawą Szymonek. Bóg w moim pokoju, przy biurku. Z łaską Wielką. Da pożyć jeszcze malarzowi, pisarzowi. Ale nie tutaj. Przystaje krążyć stara Ziemia. Nie chce mnie. Nie chce nas. Nie chce ludzi-niszczycieli. Nawet Kosmos dzielą. Nawet ten niewidzialny. Co z nas za rasa. Jestem w innym Wszechświecie, czarnym, w czarnej kuli. Której? Na szczęście jasność z Boga na kilka parseków. Coś widać. Ale co? Jakieś nieznanne galaktyki, gromady. Każda nowość za bardzo błyska metalem. Powstaje z wibracji. Czuję ich związki gorące, ciepłe, zimne. Stygną w ciemnościach. Już nic nie widać. Włożyłem ciszę w usta i błagam na kolanach. *Kogo? Madonnę z Szymonek? Pejzaż Jutrosina?*

Chciałbym znowu wrócić do Katowic. Lecz już umarłem. Naprawdę.



Maciej Porzycki

Pieprz czarny – mielony

Bar mleczny „Kuchcik”. Przy ulicy Święty Marcin w Poznaniu. Około południa. Już po odebraniu porcji pierogów wegetariańskich z sosem czosnkowym. Rozglądam się, brakuje pojemnika z pieprzem. Nie dostrzegam go ani na ladzie, ani na którymkolwiek ze stolików. Zwracam się więc do obsługującej:

- Czy dostanę...

Na co ona, kobieta pamiętająca najlepsze czasy reprezentowanej przez siebie firmy, przykładając dłoń do ust, półszepem, konfidencjonalnie:

- Nie ma, wie pan, bo pieprz jest teraz bardzo drogi.

Spojrzałem na nią z dawno nie objawianą przenikliwością. Żadnego mrugnięcia. Może diamenty miała na myśli albo przynajmniej kokainę? Wreszcie zaskoczyłem, dotarło. Jej odpowiedź powinna zastąpić działanie potrzebnej mi przyprawy. I o dziwo, tak się stało.

Zapamiętana informacja dotycząca gwałtownej zmiany kursu czarnej, sypkiej substancji zmienia smak przyjmowanych przeze mnie potraw. Regularnie, od ponad roku.

Zwrot

Pocałunki się przeciągały. Właściwie jeden głęboki, pogrążający pocałunek. Nagle poczułem w ustach coś, co niepokojąco przypominało surowy, pokruszony makaron. Gdy nasze wargi i języki rozłączyły się, dziewczyna, niespecjalnie zmieszana, nadstawiła wyczekująco rękę, zwróconą wnętrzem ku górze, na wysokości mojej brody.

Oddałem jej, wyplułem razem ze śliną. Nie mam pojęcia, ile mogło być tych zębów?

Wodnik

Wewnątrz ogromnej, nie koncertowej, ale klozetowej muszli. Blisko dna. Cała prawa strona przeszklona. Wygląda jak portiernia uniwersalnego zakładu pracy. Za szybą prześwituje, mającymi, można się domyślić, umundurowana postać.

Niespodziewanie, chociaż dlaczego, przecież rzecz rozgrywa się w toaletowym kontekście, strumienie spuszczonej wody ograniczają widoczność. Nie na tyle jednak, żeby rozmyć obraz przywierającej do przegrody ze szkła twarzy strażnika. Jego pulsujące, oszalałe, nie przestrzegające regulaminu, naśladujące rybi pyszczek usta.

Co pewien czas, po uruchomieniu spłuczki, sytuacja się powtarza. I tak wciąż trwa, ta pozostająca bez nazwy gra.

Tomasz Rębacz

Sytuacja 127

Res Mental wyobraża sobie Pana w meloniku, który na spotkaniu z czytelnikami, na pytanie czarnowłosej studentki, którego autora najwyżej ceni, odpowiada bez wahania:

- Jest nim Giorgio Manganelli. Jego esej *Literatura jako kłamstwo* zgodny jest z moją koncepcją pisania. Uważam literaturę za domenę fikcji i sztuczności, a pisarz jest, jak słusznie podkreśla Manganelli, w pierwszym rzędzie wyborem bezużyteczności, jest aspołecznym błaznem stwarzającym konstrukcje będące alternatywą dla rzeczywistości.

- Czy pisarz jest kłamcą? – dopytuje dziewczyna.

- Czy pisarz jest kłamcą? – pyta Oriana podając espresso.

Res Mental zastanawia się. Przypomina sobie antynomię Eublidesa z Miletu: „Jeżeli kłamca mówi, że kłamie, to zarazem kłamie i mówi prawdę”.

Sytuacja 377

Res Mental wyobraża sobie Pana w meloniku, oczekującego od wielu lat na wizytę Mefistofelesa, z którym chce podpisać cyrograf gwarantujący, że w zamian za swoją duszę, stworzy kilka arcydzieł literackich.

Tego dnia Pan w meloniku uświadamia sobie, że Mefistofeles nigdy go nie odwiedzi, nie został bowiem wybrany.

Zrozpaczony wrzuca do kominka ukochaną książkę, którą jest *Doktor Faustus* Tomasza Manna. W ten sposób żegna się ze swoim jedynym, prawdziwym przyjacielem.

Res Mental zastanawia się, czy współczuć Panu w meloniku, czy też z wielką ulgą zaakceptować nieobecność Mefistofelesa.

Sytuacja 552

Res Mental, Mateusz Ranto i Pan w meloniku zostali zaproszeni na wystawę prac René Magritte'a.

Kilka minut stoją przed obrazem *Przenikliwość*, na którym artysta patrząc na leżące na stole jajko, maluje ptaka.

- Tak chciałbym pisać – mówi nieśmiało Pan w meloniku.

- Podobne słowa: „Tak powinienem był pisać” – powiedział do siebie Bergotte, gdy umierając oglądał *Widok Delft* Vermeera – dodał po chwili Res Mental.

PREZENTUJE

Alx z Poewiki

M. S.-C.

To okno zgasło już i ogień lampy mdły
dyktuje chwiejny krok kolejnych ruchów rąk,
co w górę oraz w dół nadają nikły rytm
substancjom, których gniew wypełnia rurek
splot,
bo tak nakazał im zwyczajny ludzki spryt,
gdy pracy stony fakt w ten wąski wstąpił kąt.
Cóż, słońce zaszło już, a szyby ślepy blask
tak ostro w ciszy brzmi, bo sens swój stracił
smak.

Lecz jeszcze chociaż raz — powtórzyć ręki
ruch,
wypełnić mrokiem pięść retorty, dolać coś,
nad palnik przenieść szkło i mocno skupić
słuch,
by zanim zawrze płyn odstawić go na bok,
choć za oczami tkwi bolesny, sztywny słup,
a do przelania jest: tak dużo, dużo ton.
I czasem gdzieś w tym śnie, jak świadomości
ślad,
przebija poprzez ból raz polon a raz rad.

*[Aleksandryn z oksytonicznymi końcami
półwersów.]*

K. F.

Cyzeluję pęsetą dawkę substancji,
precyzyjnie ważę ostatnie kryształki:
już. Przenoszę uważnie drobiny do kolby
siviutkiego od rysek destylatora,
gdzie proces spięty pełga. Pęka tu jednak
szkło w oknie wśród strzałów haratających
ciszę, skupienie oraz taktkę dawek.

Bydło w klatkach na szczury piszczy
daremnie,
a ja pełzną zjeżony do dzieci i żony.
są: wtłoczeni gdzieś w kącie; uciekamy klatką
pod ziemię, tam niemi — podpieramy
ściany...
a zimny gorzki kasztan pęcznieje w przełyku,
rozrasta się jak mięsak karmiony kryształem

okulałem powtórnie, okulałem wtedy.

[Saturnin sylabiczny.]

J. H.

Bursztynowy płyn i bąbelki szumiące —
umysł śni pokład — chwieje się na wietrze;
gorzki smak w ustach z dna myśli wygania
szorstki strzał oka w czarny płomyk straty.

Zeszkłona pustość wypełnia otwór drzwi —
nie mam siły pójść w głąb tej gęstej jamy,
(niszcząc) spokój nieść okopconemu ciału.
Ujrzałbym jeszcze czaszki instrumentów.

Ze wzrokiem tęnym wbitym w żużel nieba,
co kryje pod czapą iskry obcych mi gwiazd,
ruszam tam jednak, zmuszam swoje buty:
w obserwatorium galopująca cisza.

Notatki dotknięte chwiejną wargą ognia
wzleciały wątle jak ciemne skrzydła ćmy.
Oczy tętnią ciepłe, gdy kąpię w pyłe rękę,
głaszcząc przyszły czas, którego pustka
parzy.

*[Ułamkowy wiersz spółgłoskowy o metrum 14
i 1/4 zgłoski.]*

*Wiersze pochodzą z książki „KTO?” Fundacja Duży
Format, Warszawa 2014.*

*Książka, w formie wierszy-zagadek przywołuje
postaci 21. światowej sławy polskich uczonych.
Tytuły są inicjałami naukowców.*

*Jednocześnie podejmuje ona istotne filozoficznie
tematy takie jak miejsce Boga w działaniu
naukowca, rola kształtu słowa w kształtowaniu
człowieka, rola pamięci i świadomość korzeni,
kontrast między człowiekiem rzeczywistym
a ideałem wyznaczonym normami, rolą nauki
w tłumaczeniu sensu ludzkiego istnienia.*

Strategie buntu, czyli śmiech bez cenzury

Szalone "młode lata odwilży" lat osiemdziesiątych, opowieści kolejkowe i kawały "spod lady" - to wszystko zatoczyło czasowe koło i uderza w sposób bezpośredni w polityczne i społeczne standardy przekonań. Wystawę w Galerii Miejskiej Arsenał należy rozumieć jako otwartą dyskusję z opiniami na tematy dominacji, czy to w wydaniu żeńskim, czy męskim, i wartościami, o które trzeba się ścierać w obecnej, spolaryzowanej, pluralistycznej (nie tylko na gruncie polskim) rzeczywistości.

Komizm i szyderstwo opracowane w sposób artystyczny (czego jesteśmy świadkami na wystawie w Arsenale) nie mogą być odzierane z ich warstwy wizualnej i nie można ich traktować jako potocznego komunikatu czy treści przeczytanej w codziennej gazecie - to nie ten poziom metafory. Między innymi komizm sytuacji i groteska słów (hasel) polega na tym, że "sztuka krytyczna" obejmuje całe pole wolności, z której korzysta bardziej społeczna strona polityki niż sama sztuka, która notabene była zawsze w opozycji do mieszczańskich zachowań i poglądów.

Być może język prezentowany na wystawie (i plastyczny, i werbalny) jest w niektórych wypadkach dosadny, ale właśnie w tym jego siła - nie jest prostym hasłem na murze, tylko broni się w kontekście przywołanej przez artystów roli sztuki społecznej i krytycznej, która ma swoje korzenie w latach sześćdziesiątych i osiemdziesiątych ubiegłego wieku: m.in. Jerzy Bereś, Zofia Kulik, Krzysztof Wodiczko, a w Poznaniu: Jarosław Kozłowski czy Andrzej Matuszewski oraz teoretyk Jerzy Ludwiński.

Okazało się, że aktualna sztuka może tak samo stwarzać sytuacje awangardowe w myśleniu i pojmowaniu świata, że ważny jest nie tylko koncept jako strategia, ale równie istotne, właściwie najważniejsze, są emocje, z którymi pracują artyści. To niby oczywiste, ale wymaga podkreślenia. Bunt okazał się jawny dzięki elementarnej zasadzie twórczości, którą zdefiniował obecny na wernisażu Zbigniew Warpechowski - ceniony artysta, performer, jeden z bohaterów wystawy. Mówiąc "artysta dopóki jest twórczy, dopóty staje się zawsze awangardowym artystą", dowodził, że niezależnie, w jaki sposób określa się swoją sztukę, ważne jest, żeby artysta "robił swoje". W tym uporze kształtuje się jego pierwotny bunt, siła i prawda. Już nie liczą się emocje

Może się wydawać, że sztuka nie ma już aż takich praw, bo każdy od niej żąda "piękna iluzji", podobnego do wizji reklamy, która kształtuje poniekąd smak i gust odbiorców. Cóż można więcej dodać? Daliśmy się wpuścić w utopijną walkę o posiadanie racji i przewagi, w fobię przed wyśmianiem wartości. "Już nie liczą się emocje" - zdaje się mówić i szydzić skomercjalizowany system wartości. Jedno z hasel reklamowych głosiło: "Nie rób sceny, liczą się ceny" (cytat Media Markt, 2011). Zatem wszystko można kupić i... okupić - osobistą stratą niewyrażonych,

zaległych, nieprzepracowanych emocji. Artyści zdają się przeczyć temu spłycaniu sensów, ale używają przewrotnie podobnego typu propagandowego sloganu i narracji reklamowej - we własnej autorskiej i nieprzekupnej prezentacji.

Kolejne systemy wartości i narzucona dyskusja w temacie orientacji kulturowej - społecznej - seksualnej prowokują nas do podważania naszej biologicznej naturalności i niezależnego myślenia. Ale wzajemne osądzanie to jednak miecz obosieczny. Płacimy wspólnie za medialne awantury i kłótnie, a konfliktów jednostkowych unikamy w imię mniejszego zła. W tej walce o hegemonię zanikają i nasza wzajemna godność, i szacunek wobec inności. Można bowiem człowieka sprofilować intelektualnie, można go spacyfikować, ale prawo do czucia oraz aspiracje duchowe są jedyną odrębną od świata zastanego odczuwalną strefą, jaką zna ludzka natura. Z jej pomocą stajemy się refleksyjni i możemy na dobre odpocząć w umiłowaniu mądrości, czyli filozofii, sztuce, kulturze bądź religii...

Miałeś chamie złoty róg...

Właśnie te humanistyczne elementy zdają się emanować i unosić w atmosferze wystawy "Strategie buntu". Całość jest dobrym połączeniem różnych środków pełnych ekspresji - plakatów (Wojciech Korcuć), przestrzennych obiektów - modelowej gry w klocki i elementy flagi (The Krasnals), oraz wielu prezentacji wideo. Pojawia się filmowy dokument z performance'u Warpechowskiego z instrumentem - rogami. Artysta zdaje się mówić słowami Wyspiańskiego: "Miałeś chamie złoty róg...". Pokazane działanie, choć odległe w czasie, staje się bardzo aktualne.

Wobec złożonej i skomplikowanej rzeczywistości kulturowej i społecznej artyści (już wspomniani Zbigniew Warpechowski, Wojciech Korcuć, grupa The Krasnals, jak również Jacek Adamas i nieżyjący już Jerzy "Jurry" Zieliński) wyrażają się wprost. Nie mamy do czynienia z przyjemnością ani lukrowanym, artystycznym tortem... To raczej sztuka odważna, zdejmująca "tęczowe okulary", rezygnująca z pozorów klasycznej estetyki.

Podczas oglądania wystawy nasuwa się też pytanie: dlaczego to, co dobre i wartościowe w życiu - owe kulturowe przymioty, które wymagają poświęcenia, odwagi, ofiary i często cierpienia - zostają rozmiennie i wyśmiane na korzyść uśmierającego komfortu i utopii reklamowego luksusu? Myślę, że konflikt między prawdą a utopią (np. w obiekcie przedstawiającym "Sztuczną świnię ze sztucznymi kwiatami") stanowi właśnie taki model pozorów. Artysta zdaje się mówić "i co z tego, że świnia ma kwiaty - ona pozostaje nadal świnia...".

Prezentacja w poznańskim Arsenale wzbudza w widzu silne emocje, ale pobudza równocześnie do myślenia. Dzięki niej można w naprawdę dobry sposób odreagować społeczny stres. Czasem wywołuje ona spontaniczny, radosny śmiech, który nie podlega żadnej konformistycznej cenzurze.

Galeria Miejska Arsenał, „Strategie buntu”, Poznań, sierpień – wrzesień 2015.

Mateusz Wabik

Nieskończoność jak opera mydlana

W 2014 roku wyszedł nakładem Mamiko kolejny tom wierszy Olgerda Dziechciarza, autora który także uprawia prozę i formy dziennikarskie. Jest to moje pierwsze spotkanie z poezją Dziechciarza, który metrykalnie należy do tzw. generacji roczników 60-tych, ale nie stara się wpisać ani w nurt barbarzyński, ani klasycystyczny, pisze swoje, a jego poezja to zestrojone abstrakcji i konkrety, co czasami przypomina poezję Mariusza Grzebalskiego, czy Piotra Smolaka, ale na pewno nie jest to kopiowanie wzorów. Wydaje mi się, że w pewien sposób język poezji Dziechciarza z mocnym pierwszym słowem, wersem, z którego się wysnuwa cały wiersz, może się kojarzyć z poezją Edwarda Stachury. Oczywiście, trzeba zaznaczyć, że wiele wierszy Dziechciarza posiada mikrofabułę, ale poeta raczej nie stara się naśladować stylu mowy potocznej jak się często działo i dzieje w poezji twórców z jego generacji, jednakże umie udanie połączyć tematykę wzniosłą z kiczem kultury masowej jak w „Końcu”: *świat jest nieskończony / jak amerykańskie opery mydlane*, jednakże nie stosuje takich postmodernistycznych środków wyrazu zbyt często. Oprócz 33 wierszy w tomie Dziechciarza mamy sporą garść sentencji zebranych pod jednym tytułem „Sen(s)encje drugie”. W jednym z wierszy poeta obserwuje zachowanie swojego syna Tymona, który narysował *palcem na obrusie / przewróconą ósemkę* („Nieskończoność ośmiolatka”) od czego zaczerpnął twórca tytuł tomiku. „Przewrócona ósemka” to nic innego jak symbol nieskończoności. Inne obserwacje w tomiku, to obrazy z życia małego miasteczka i jego mieszkańców, pogrzeb, który każe zastanowić się nad tajemnicą śmierci, poeta zastanawia się także nad wiarą i nad swoimi stanami emocjonalnymi i uczuciami. Poeta w wierszu „Ukraina” wspomina swojego dziadka, który *uciekał byle dalej na wschód* podczas I wojny światowej.

Wiersz „Cmentarzyk” przypomina swoim tematem dzwonienia przez komórkę do umarłych

osób książkę Piotra Kraśki „Smoleńsk. 10 kwietnia 2010”, Nr 54/55/2015 w której autor opisuje scenę, kiedy dziennikarze i rodziny próbowali kontaktować się ze zmarłymi w katastrofie polskimi politykami i innymi osobami. Jednakże w wierszu Dziechciarza ów „umarły” to może być także ktoś zapomniany, ktoś z kim Dziechciarz nie utrzymuje już kontaktu. Jednakże w obu przypadkach mamy podobny nastrój grozy i jakiegoś połączenia śmierci z elektronicznym urządzeniem. Nastrój tajemnicy, wręcz grozy pojawia się także w „Starym cmentarzu”, który dotyczy dawnych czasów, w którym podmiot liryczny wiersza wraz z kolegami grał w piłkę, która wpadła im na cmentarz: *szedłem na palcach / nikogo nie zbudziłem // piłka była w innym / miejscu niż powinna*. Wspomnienie z czasów późnego dzieciństwa na pewno jest nieco zdeformowane latami, które upłynęły od zdarzenia. Kiedy racjonalnie poeta nie mógł wytłumaczyć owego przypadku, może nie miała od czego się odbić, ktoś ją położył w miejscu, do którego nie mogła spaść, poeta nie wysnuwa wniosków, że to mógł ją ktoś przełożyć, będący na cmentarzu i stara się nakierować czytelnika na jakieś skojarzenia z umarłymi wstającymi z grobów. Tak przynajmniej mi się skojarzyło. Wiersz ma swój klimat poprzez zestrojone wspomnienia dzieciństwa z obecnością na cmentarzu, zdarzeń wytłumaczalnych z niewytłumaczalnymi. Jeśli chodzi o sentencje Dziechciarza to naliczyłem ich ponad 100, wiele z nich jest bardzo trafnych, jednakże poeta operuje często paradoksem i niektóre z nich kojarzyć się mogą ze stylem Stanisława Jerzego Leca, ciekawiej wypadają sentencje oparte na różnorodnych grach językowych jak np. „Człowiek to brzmi durnie”. Lektura tomiku Dziechciarza należy do wartościowych przygód lekturowych, gdyż poeta ma coś do powiedzenia, interesująco umie opowiedzieć o swoim otaczającym świecie, no ale od strony formalnej widać, że to połączenie jakby poezji lat 90-tych z nieco starszą, buntowniczą i raczej do jakichś zaskakujących rewolucji formalnych Dziechciarz nie zmierza. Także cieszy dbałość o zapis wiersza, wypływający z poezji Dziechciarza spokój nie przeradza się w nudę.

Olgerd Dziechciarz: „Przewrócona ósemka”, Mamiko 2014.



Lech Lament

Matka

Słyszysz tylko wodę z kranu jak kapie
a wykapało się całe życie

ile tych księżyców na dnie stawu
do którego wlewała swój samotny żal
sama
w opuszczonym domu
gdzie spreparowane w pamięci twarze dzieci
włóczą się po ścianach
i głosy wnuków za oknem
radosne jak ptaki

kto przyjdzie pierwszy
kto wysłucha jej słów z przeszłości
że najpiękniejszy jest świt gdy nic nie boli

a w płucach ranne słońce rozpala nadzieję
głos telefonu w którym życie staje się realne
gdy możesz poprzez słowa dotykać czyichś
ust

i wierzyć że świat się nie skończył

nadmiar ciszy wokół
mocne odgłosy serca
bo bliskość śmierci nie była nigdy odważna

więc słucha radia
nuci przed zaśnięciem
i po przebudzeniu

samą siebie też można wysłuchać

Mirosława Poncyliusz

Bądź mi zawsze

Widziałam jak dziurą w niebie
wypadł ułomny anioł

Miał słabe skrzydła
nie był tak biały jak inne
– mówią że latał na skrótach
i cicho śpiewał hosanna

Był jak owad jak przestrzeń
– cielesny a przezroczysty

Sprowadzał dobry sen
uprzątał rumowiska
tych łączył tamtych rozdzielał

Ja — nic od ciebie nie chcę
stróżu mój

Zdzisław Czwartos

* * *

tak
to jednak jest takie ogromne ...
na moim poletku
nie większym od chłopskiej łąwy
wyrósł fiołki
skąd wzięły barwę płatków
i zieleni liść
i zapach ten
skąd
złota jasność słońca
pływa w ciepłym powietrzu
kołysze się
faluje -
i unosi tę cudowną woń
i
spójrz dookoła
trawa
małe maleńkie źdźbła
wiem że wiele potrafisz
ale tę barwę kwiatów i zielony liść ...

Jerzy Ł. Kaczmarek

Drugi brzeg

Jest noc.
Lato nabrzmiało zapachami.
Cytryna gnije na stole. Świat wypada spod
powiek.
Kiedyś to już było. Pozostaje więc nazywanie
tego
samego na nowo. Pociąg, który odjeżdża tyle
lat.
Jego gwizd budzi mnie ze snu.

Kiedyś to już było. Otwieram oczy. Nie
rozpoznaję
tego miejsca, siebie, uciekającej z czyjegoś
ciała
kołdry. Głowa opada na poduszkę. Zostaje
lepiący
się do skóry żar, mrok przyklejony do
samotnych
ścian. Połykam haczyk snu. Wyłowi mnie nad
ranem

ten drugi brzeg.

Dariusz Tomasz Lebioda

Ciemne malowidła

Poeci podróżują do swoich miejsc magicznych, zagubionych pośród mórz i oceanów, rzadko odwiedzanych przez turystów i mających coś, czego nie dostrzegają inni. Thomas Tranströmer, szwedzki laureat Nagrody Nobla z 2011 roku, w swoim wierszu „Syros” wraca do czasu dwóch idealności – swobodnego podróżowania w czasie i przestrzeni oraz dobrego zdrowia. Rok 1990 nie zapisał się dobrze w życiu tego poety, bo przeżył poważny udar mózgu i musiał zrezygnować ze swojej zwykłej aktywności. Poświęcił się wtedy poezji, a jego wielka aktywność po przeżytym wylewie zdumiewała czytelników i krytyków, wszak kolejne zbiory liryków ukazały się w ponad sześćdziesięciu językach świata. Podkreślano esencjonalność wierszy Tranströmera, jego wnikliwość i paradoksalny charakter ewokowanych obrazów, wskazywano na oryginalność tematyki muzycznej, głębię doznań religijnych i kreację człowieka jako istoty zagubionej w kosmicznym beładzie, w nieustającym pędzie, kończącym się nieuchronnie śmiercią i rozpadem. A wszystko w niezwykle prostych, kondensacyjnych lirykach, które z pozoru niczym szczególnym się nie wyróżniają, a przy dogłębnej analizie odsłaniają treści ukryte, metaforyczne i symboliczne. Tranströmer wpatruje się w rzeczywistość i wcale nie jest to spojrzenie dobrotliwe, raczej jest to analiza otwierająca przepastne głębie, wyodrębnienie ciemnych malowideł i wejście w mroczne przestrzenie. Ze wszystkich stron w tych wierszach wyziera przerażająca pustka istnienia, tragedia ludzkiego bytu, nieustannie narażonego na cierpienie, choroby, podążającego ku rozpadowi, ale też nieustannie prowadzącego walkę z entropią i starającego się stworzyć coś żywego pośród martwoty.

Głównym portem na greckiej wyspie Syros jest Ermupoli. Nad miastem dominują dwa wzniesienia – wschodnie Wrondado, z dzielnicą prawosławną i zachodnie Ano Siros, z dzielnicą katolicką. Wejście na wzgórze i spojrzenie na rysujące się dale, daje wyobrażenie o sile żywiołów pośród których żyją tutaj od wieków ludzie.

Tranströmer wraca myślą do swoich pobytów na wyspie Syros i wyodrębnia obraz starych statków handlowych, być może przyprowadzonych do stoczni, a potem porzuconych z niewiadomych przyczyn. Pojawiają się zatem konkretne nazwy i dokładne umiejscowienie armatorskie: Caperion i Cassiopea z Monrovi, Kritos z Andros, Scotia z Panamy, Kelatros z Pireusu. Niegdyś zmagające się z falami, potwierdzające potęgę ludzkiej myśli technicznej, niszczone powoli, trawione przez rdzę, zakotwiczone w ostatnim swoim porcie, jak mary przeszłości odbijają się w morskich toniach. Są tam realne i budzące grozę, a w wyobraźni poety dodatkowo stają się symbolem upływu czasu, analogonem nieuchronności odejścia, końca każdej chwały. Ich odbicia w wodzie są jak ciemne malowidła pośród barw i światła wyspy Syros i ekspandują wyobraźnię ku dzieciństwu, ku wzniosłym marzeniom o wielkości i byciu kimś znaczącym w świecie. To tak, jakby kolorowe stateczki, którymi bawimy się jako dzieci, urosły

nagle monstrualnie i stojąc na kotwicy w Syros, przypominały nam o marzeniach naszych pierwszych lat, o jasnych myślach, podążających ku mostkom kapitańskim, wyniosłym rejom i bocianim gniazdom. Jakże gorzkie jest to podsumowanie, w którym pojawia się ocena dawnych pragnień i jakby zamknięcie ich jednym, przerażającym słowem nigdy, bo nawet późniejsze sukcesy poety, jego laury i chwała, dalekie były od żarliwości pierwszych pragnień. Teraz ów mały chłopiec, który chciał pływać po oceanach i dowodzić statkami, kontempluje w wieku dorosłym ich powolny rozpad na greckiej wyspie. I tak jak nie sprawdziły się dziecinne marzenia, tak ocean nie sprawdza już wytrzymałości okrętów, stoją w równym szeregu i niszczone, a ich ciemne odbicia poruszają się lekko pośród ocienionych wód. Poeta kończy swój wiersz pointującym wszystkim paradoksem, nawiązując do pierwszego przyjazdu na Syros w nocy, kiedy to oświetlone przez księżyc, wydały się jemu i towarzyszącym mu osobom potężną flotą, rodzącą w myślach liczne asocjacje (koneksje), dodatkowo wzbogacone przez kosmiczny opar lunarny. Wszystko wszakże zostało odmienione następnego dnia przez jaskrawe światło słoneczne, wydobywające bolesne dziury i zniszczenia, wszechobecną rdzę, mającą w sobie coś z nieuchronności przemijania i potęgi rozprzestrzeniającej się w naszym świecie śmierci. A choć tony tego wiersza są ponure, przypominające nam jak kruche są wszelkie byty, nawet te powstałe z twardej materii, to bije z niego – jak często u Tranströmera – jakaś tajemna, rapsodyczna chwalebność, siła ludzkiej wyobraźni, potrafiącej przemieszczać się szybko od dzieciństwa do lat późniejszych i łączyć w obrębie metafory jasne obrazy i ciemne malowidła.

Tomas Tranströmer

Syros

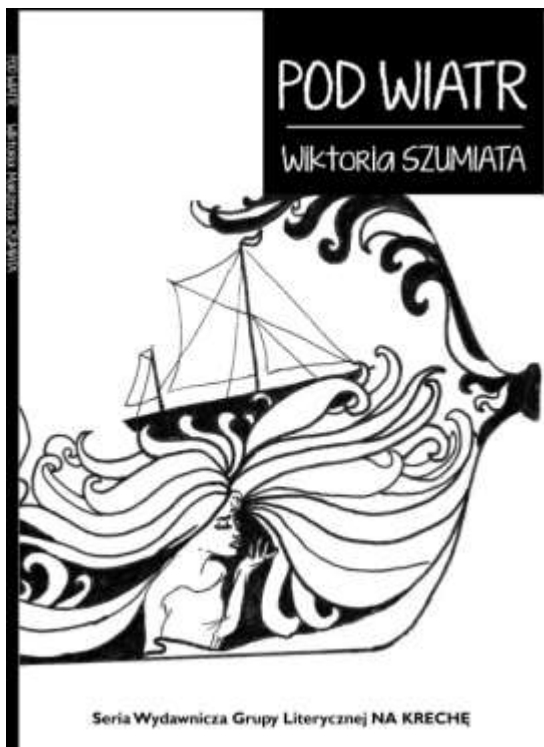
W porcie Syros porzucone statki handlowe
stoją beczynn timer. Rzędem, jeden przy drugim. Na kotwicy od
lat.

Caperion z Monrovi,
Kritos z Andros,
Scotia z Panamy.
Ciemne malowidła na wodzie, zawieszane na
uboczu,
jak zabawki z dzieciństwa, wyolbrzymiały,
które przypominają nam o wszystkim, czym
nie zostaliśmy nigdy,

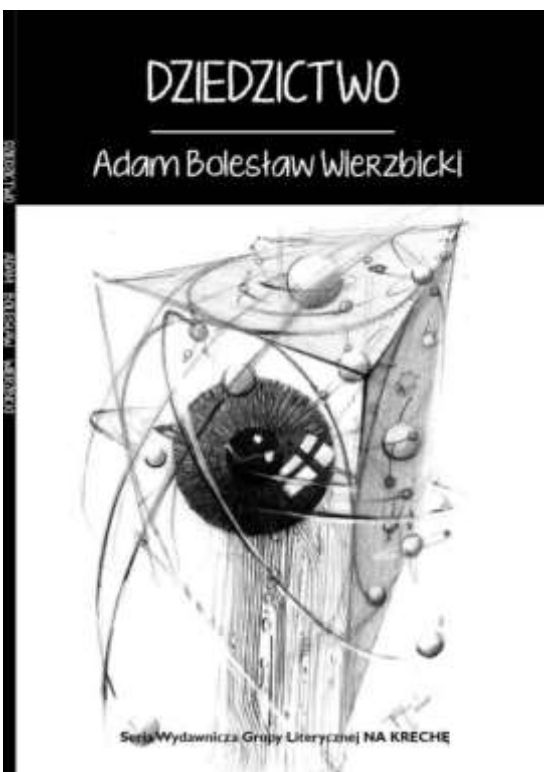
Kelatros z Pireusu,
Cassiopea z Monrovi, ocean nie sprawdza ich
więcej.

Ale kiedy pierwszy raz przyjechaliśmy do
Syros, w nocy,
i zobaczyliśmy cały ich rząd w świetle
księżyc, myśleliśmy:
jaka potężna flota, jakie wspaniałe koneksje!

przeł. Czesław Miłosz



Debiut najmłodszej, skromnej oraz bardzo ambitnej, kreatywnej uczestniczki Grupy Literycznej Na Krechę intryguje oczekiwaniemi podmiotu literackiego. Ukazuje sferę zmagania może z inicjacją, może z własnymi lękami, marzeniami, rezygnacją z dziewczęcych (dziecięcych) przywilejów. Dużo tutaj subtelnej autokreacji ukrytej pod postacią dążenia do czegoś nowego, innego, niezależnego. Twory utrzymane w formule prozy poetyckiej ukazują epifaniczną grę wyobraźni, wspomnień i pragnień. Zawierają też indywidualny rys w postaci wplątanych dialogów, zapisków z podróży. Wiersze **Wiktorii Marzeny Szumiaty** tylko pozornie przedstawiają spokój kolejnych onirycznych obrazów i sytuacji, przesyconych wrażliwością, tęsknotą do egzotycznych podróży oraz do poznania wielkich aglomeracji po „drugiej stronie świata”. To jak druga strona medalu, druga strona lustra, która kusi autorkę tajemniczością, być może tym lepszym, ciepłym wizerunkiem, popularnością. Droga do nowych doświadczeń wiedzie „Pod wiatr” i warto ją poznać.



Adam „Bolek” Wierzbicki serwuje nam, w swoim trzecim tomie wierszy pt. „Dziedzictwo”, przejmujący, dosadny, realistyczny obraz wiejskiej, małomiasteczkowej codzienności, polskości, obyczajowości. Umiejętnie zamienia życie na słowa. W narracyjny sposób zdaje relację z tego, co już było, co nas otacza. Przedstawia wizję swojego miejsca, ojczyzny, także ogląda się za siebie. Nie patrzy w przyszłość. Dźwiga w swojej świadomości dziedzictwo pamięci trudnych czasów, z którym trzeba (jakoś) się uporać. To nie jest sensotwórcza gra. Tutaj kipi intensywnie życie. Wierzbicki obserwuje, jest oddany sprawom, miejscom oraz ludziom, co daje pretekst do swoistej wiwisekcji. Wspomina zarówno swoje, jak i cudze przeżycia, ukazując marazm, szarość; akceptując czasem fakt, że istnienie ludzkie nie będzie jak pionki na szachownicy – białe i czarne. Czy jest z tym pogodzony? Przeczytajcie sami.

Łucja Dudzińska

Adam Bolesław Wierzbicki

Ogonek po szczęście

Z cyklu: Kolejki polskie

Kolejka do kasy w supermarkecie jest
zadowolona. Dzisiaj
jest dzień promocji. (Kiedyś promocja
kojarzyła się
z przejściem do następnej klasy, dziś to
słowo nabrało

innego znaczenia). Ludzie pchający ogromne
kosze,
wrzucają do nich kilogramy towarów
kupionych za
okazyjną cenę. Szybko, dużo, tanio, niczym u
Piera

de Cubertina. Nie ma czasu spojrzeć na datę
produkcji czy okres ważności. (A nóż sąsiedzi
zdążą kupić, a my nie). Co tam niespłacone

kredyty w bankach i mieszkanie na hipotekę
– *taka*
promocja nie trafia się co dzień. Trzeba więc
łapać
za warkocz Łysą Boginkę. Objuczeni (niczym
wielbłądy

na Saharze), z plastikowymi torbami z logo
marketu,
(przez setki lat będą rozkładać się na
wysypisku śmieci),
kierują się w stronę zatłoczonego
samochodami parkingu.

Dźwigają szczęście, którego niemal połowa,
po dwóch
tygodniach, trafi do osiedlowego śmietnika.
Torby z lnu
zostały w domu, w pośpiechu zabrakło czasu,
aby wziąć.

Wiktoria Marzena
Szumiata

PROTOKÓŁ
LITERATURY
Nr 54/55/2015

Wieżowce I

boję się czekania. wtedy rozrywają się tętnice
w koniuszkach palców. i kiedy każą mi
cierpliwie czekać
czasami rozumiem to dosłownie
w bezruchu wpatruję się w fotele w szafę

może pewnego dnia powiedzą: *to już*
może pewnego dnia ktoś będzie odkrywać
najmniejszą dolinę świata dokładnie
pomiędzy
moim biodrem a żebrami i zapyta:
czego byś chciała jutro?

– *wejść na tamtą wielką wielką wieżę*
najwyższą jaka powstała.

– *co oferujesz w zamian?*

słyszac to nie będę zaskoczona
w miejscu gdzie rytm oddechu oznacza
czarne złoto
transakcje są na porządku dziennym

parę oczu wystraszonego zwierzątka
parę oczu z prześwitami błękitu. przypatrz się
a je zobaczysz. nie z taką łatwością jak w
innych
ale zobaczysz. to spojrzenie latami ćwiczyło
zuchwałość a w tej chwili najbliżej mu do:
– *nie. nie! ja chcę już iść spać*

może nie nauczę się zawierać transakcji
i będę w zupełnej ciszy jaka wtedy zapadnie
w chłodnej pościeli cierpliwie czekać
aż o poranku wieżowce przebiją mgłę





Franciszek Starowieyski – pseudonim Jan Byk, urodził się 8 lipca 1930 roku w Bratkówce, koło Krosna, zmarł 23 lutego 2009 roku w Warszawie. Polski grafik, malarz, scenograf i rysownik, jeden z największych kolekcjonerów dzieł sztuki w naszym kraju. W latach 1949-1952 studiował malarstwo w Akademii Sztuk Pięknych w Krakowie, a następnie w ASP w Warszawie u Michała Byliny, gdzie uzyskał dyplom w roku 1955. Popularność przyniosły mu plakaty teatralne i filmowe, które zaczął tworzyć w latach 60. XX wieku. Koncentrował się także na pracach z zakresu grafiki użytkowej oraz scenografii teatralnej i telewizyjnej. Uchodzi za twórcę tzw. teatru rysowania. Jego malarstwo charakteryzuje fascynacja kobiecym ciałem o rubensowskich kształtach, zamyślenie nad przemijaniem oraz śmiercią, a także niezwykła zmysłowość. Prace artysty były wielokrotnie wystawiane w kraju oraz za granicą, między innymi w galeriach i muzeach w Austrii, Belgii, Francji, Holandii, Kanadzie, Szwajcarii, USA i we Włoszech. Twórca był laureatem wielu nagród, jak choćby Grand Prix podczas Biennale Sztuki Współczesnej w São Paulo (1973), Grand Prix za plakat filmowy na festiwalu w Cannes (1974), Grand Prix na Międzynarodowym Festiwalu w Paryżu (1975), Annual Key Award gazety „Hollywood Reporter” (1975-1976), nagrody na Międzynarodowym Biennale Plakatu w Warszawie i na Międzynarodowym Festiwalu Filmowym w Chicago (1979-1982). W roku 2005 został odznaczony Złotym Medalem Zasłużony Kulturze Gloria Artis.

W numerze wykorzystano grafiki Franciszka Starowieyskiego:

- s. 1 – Oko i ucho czerwonej zarazy
- s. 5 – bez tytułu
- s. 9 – Trąba św. Ząba
- s. 15 – Adoracja ABC
- s. 19 – bez tytułu
- s. 20 – bez tytułu